

**JÓZEF WIŚNIEWSKI**  
ur. 1933; Świętochłowice



<b>Miejsce i czas wydarzeń</b>	Świętochłowice; II wojna światowa
<b>Słowa kluczowe</b>	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów; II wojna światowa; Świętochłowice; okupacja hitlerowska; okupacja niemiecka; Górny Śląsk; represje niemieckie; fotografie opowiadane; życie codzienne; listy narodowościowe na Śląsku; kartki żywnościowe; rodzina Wiśniewskich; Chorzów; roboty przymusowe dla młodocianych; Żywiec; niemieckie przedszkole w Świętochłowicach; niemiecka szkoła podstawowa w Świętochłowicach; nauka w szkole podstawowej

### **Nie wolno nam było mówić po polsku**

Górny Śląsk został wcielony do Rzeszy, jak Niemcy mówili, do Altreichu czyli do starego kraju. Z uwagi na to, że ojca nie było, uznany został jako szkodliwy dla Niemiec. W owym czasie, już w 1940 roku, Niemcy wprowadzili tak zwaną folkslistę, czyli listy narodowościowe. Na Górnym Śląsku tych list było pięć. Bluedojcz - rasowo czysty, krwisty Niemiec, można tak dokładnie przetłumaczyć. Rajsdojcz - Niemiec narodowo właściwy. Folksdojcz - co miało inne znaczenie jak na przykład w Generalnej Guberni. Następnie lista numer cztery, Pole –Polak. I lista numer pięć, staatenlos –bezpaństwowiec. My otrzymaliśmy listę pięć –bezpaństwowcy. Czyli Polak bez państwa. Skoro Polak bez państwa, czyli bez żadnych przywilejów. Mało przywilejów, nie dostaliśmy żadnych kartek żywnościowych. Tylko moja siostra najmłodsza, z uwagi na to, że miała rysy podobno germańskie, dostała jedynie ona kartkę żywnościową. Matka zajmowała się praniem bielizny dla Niemców, którzy przybyli wtedy do zakładu, przeważnie z Zagłębia Saary. [To byli] na ogół przyzwoici Niemcy. Matka im po prostu prała ich ciuchy i z tego żyliśmy. Ja trudniłem się zbieraniem węgla na hałdzie oraz robieniem wiązek z drewna, które sprzedawaliśmy w Chorzowie na targu. O wyżywieniu nie wspomnę, bo głodowaliśmy cały czas.

Na początku lat 40., chyba w 1940 roku, moja najstarsza siostra, zgodnie z ówczesnymi zarządzeniami, wszyscy musieli pracować na rzecz Niemców, moja siostra również musiała udać się na roboty przymusowe dla młodocianych. Została skierowana do Żywca, gdzie pracowała u Niemców jako służąca, aż do wyzwolenia. Ja natomiast, zgodnie z wszystkimi wymogami jakie Niemcy narzucili, chodziłem

najpierw do przymusowego, co dzisiaj się wydaje może dziwne, ale wtedy wszyscy chodzili do przymusowych przedszkoli. Gdzie już rozpoczęła się indoktrynacja od początku. Zgodnie z zasadami *ein Volk, ein Reich, ein Führer* –jeden wódz, jeden kraj, jeden naród. Nie wolno nam było mówić ani słowa po polsku. „Der spricht in polnischen unser feind” Takie wisiały plakaty dookoła, w szkole, w przedszkolach i na murach. „Kto po polsku mówi, jest naszym wrogiem” Na ulicy trzeba było podnosić rękę do pani Müller, która naszą dzielnicą zawiadywała z ramienia niemieckiej partii, i mówić „Heil Hitler” Kto tego nie zrobił to jeszcze kartki, te resztki zabierano. Rozpocząłem po roku czasu, po przedszkolu, naukę w niemieckiej szkole podstawowej. Uczyli nas wyłącznie Niemcy, przeważnie Bawarczycy. Dyrektor szkoły w mundurze partyjnym, nauczyciele też w mundurach partyjnych. W szkole, o dziwo, jak dzisiaj opowiadam to moim wnukom, to się dziwią, że tak mogło być, trzeba było siedzieć wyprostowanym, ręce złożone na ławce, bez ruchu. Dyscyplina niesamowita. Ale miało to tę zaletę, że nauka wchodziła do głowy. Chociaż nie zawsze taka jaką by się chciało. Lekcje zaczynały się zawsze od powstania, cała klasa musiała wstać i do dzisiaj pamiętam to pozdrowienie, które musieliśmy wygłosić. Tak jak dzisiaj na lekcji modlitwy się odbywają w Polsce. „Wir begrüßen unsere Führer und unsere tapferen Soldaten, Heil Hitler” Tak się zaczynała każda lekcja, pierwsza. „Pozdrawiamy naszego Wodza i naszych dzielnych żołnierzy, heil Hitler” Moim zdaniem, jak dzisiaj patrzę z perspektywy, niemiecka szkoła podstawowa była na bardzo wysokim poziomie. Ogromna wymagalność. A w pierwszej klasie zacząłem pisać, jeszcze nie było zeszytów. Tylko była taka tabliczka z takiej łupki i rysikiem się pisało. Do tej tabliczki była przymocowana gąbeczka i szmatka. I pisało się, wycierało się. Najgorsze było to, że jak się odrabiało lekcje domowe, a przychodziło się do szkoły na drugi dzień, to bardzo często te cyferki z matematyki wycierały się same z siebie czy się niechcący pocierało i to była tragedia wtedy. Bo to znikało. Już w drugiej klasie były zeszyty. Jako ciekawostkę jeszcze chcę podać, że podręczniki każdy uczeń dostawał w szkole. Nie nosiło się żadnych podręczników. I kto szanował swój podręcznik, to na drugi rok w nowej klasie dostawał nowy podręcznik. Kto go zniszczył, dostawał zniszczony. Przydałoby się to i dzisiaj dla poszanowania podręczników szkolnych.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2015-03-09, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Tomasz Czajkowski
<b>Redakcja</b>	Tomasz Czajkowski
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"